

Druga bitwa o Anglię

5 września 2009

Herszt Europejczyków Buzek pochodzi z plemienia dzikich koczowników. Po angielsku – „nomades”.

Polacy, naród o ponad stuletniej tradycji partyzanckiej, najlepiej wie, jak zbudować alternatywne państwo. Polskie skupiska w trzech miastach: w Reading pod Londynem, w Peterborough i w Lincoln w środkowo-wschodniej Anglii rządzą się same. Nasi tradycyjnie osiedlają się tam pod lasami, nad jeziorami lub rzekami. Najpierw rozstawiają wielkie wojskowe namioty, następnie dociągają do nich prąd i polskość.

SUNNY GYPSY CAMP

Policja, podobnie jak do mieszkających w kempingowych wioskach angielskich Cyganów, rzadko tu zagląda. Władze samorządowe bezskutecznie szukają sposobów na zlikwidowanie polskich obozów. Rada Miasta Peterborough szacuje, że obozowisko nad jeziorem Fletton zamieszkiwało 200 imigrantów. Na błotnistym nabrzeżu rzeki w Lincoln nadal mieszka kilkadziesiąt osób.

– Nasze namiotowe miasteczko nad rzeką w Reading widać było już z podmiejskiej kolejki – z dumą opowiada Jerzy, technik budowlanec. – Było światło, kobiety nosiły wodę, sprzątały...

Małą Polskę w Peterborough podpalono pół roku temu, w Reading – zaledwie przed miesiącem.

– Z okazji każdego święta polscy koczownicy kradli ryby z pobliskich stawów. Nie pomagały upomnienia ani ustawianie w pobliżu stawu ilustrowanych zrozumiałych dla Polaków piktogramów: przekreślona ryba, obok przekreślona parująca ryba na talerzu i obok przekreślony uciekający człowiek z rybą pod pachą – opowiada policjant z Reading. – Wystarczyły cztery wasze święta, żeby ze stawu zniknęły wszystkie ryby. Głuszy się nie tylko ryby. Obozowicze z Reading wspominają, że mąż

dźgnął żonę nożem, bo go zdradziła. Nikt z obozu nie puścił pary z gęby, bo to przecież kłótnia rodzinna. Żona też nie pisnęła słówka, widocznie była winna.

Zdarzały się też pomyłki w plemiennym wymiarze sprawiedliwości. W jednym z namiotów zginął dziewczynie telefon komórkowy. W klubie w mieście widziano z tym telefonem jednego z chłopaków. Gdy wrócił do obozu, wzięto go na przesłuchanie. Ponieważ nie chciał się przyznać po dobroci, dziewczyna z bratem i narzeczonym próbowali torturami wyciągnąć od niego zeznania. Kłuli go widelcem, aż w końcu ze złości dziewczyna wzięła rozbieg i dźgnęła przywiązanego do krzesła podejrzanego nożem w policzek na wylot. Najstarsza mieszkanka obozu na podstawie zeznań tylko jednego świadka wydała wyrok na rzecz okradzionej, mimo nieprzyznania się do winy przekłutego oskarżonego. Kazała mu zapłacić ofierze 200 funtów w ramach rekompensaty za skradziony telefon wart 100 funtów oraz 200 funtów kary za straty moralne. Nazajutrz do obozu wróciła z imprezy dziewczyna skazanego z rzekomo skradzionym telefonem. Okazało się, że to nie ten sam aparat, tylko podobny.

Był też chłopak, na którym chciała się zemścić dziewczyna za brak nią zainteresowania. Oskarżyła go o gwałt, za co karę, przy akceptacji całego obozu, wymierzył brat dziewczyny: prawie zabił rzekomego gwałtciciela, kopiąc go w głowę. Chłopak przestał oddychać, dziewczyna przestraszyła się i przyznała do kłamstwa. Na szczęście pobity chłopak ocknął się, gdy wylano na niego wiadro zimnej wody. Za fałszywe oskarżenie obóz skazał dziewczynę na 2-miesięczną banicję.

Gdy pytam o samosądy miejscowego policjanta, kiwa głową i pociesza, że mniejszość koreańska też się w Anglii sama sędzi.

CUP OF COFFEE

– Etyka w naszym obozie była bardzo wysoka – z rozrzewnieniem wspomina Wiesław, były kapitan Wojska Polskiego z Lublina,

pracujący na dworcu w Reading jako wózkowy. – Nie można było śmiecić, prowokować policji, była nawet godzina policyjna...

Po podpaleniu obozu przez nieznanych sprawców Polacy wylądowali w opuszczonych garażach i magazynach. Ale już organizują nowy obóz. Tradycja tego wymaga. Podczas II wojny stacjonował tu polski kontyngent wojskowy. Większość żołnierzy nie wróciła po wojnie do Polski, bojąc się stalinowskich represji. Wojskowi osiedlili się w Reading, założyli stowarzyszenie i kupili spory kawał ziemi, na którym postawili kościół z parafią. Polski ksiądz, idąc w ślady duchownych angielskich, aż do teraz zbiera na tacę dwa razy: raz na Kościół, drugi raz na księdza, czyli siebie, ale – w przeciwieństwie do angielskich duchownych – nie płaci podatków.

– Stara Polonia na tacę rzuca tylko papierowe funty, minimum po 20 – donosi mi miejscowy ministrant. Mimo to katolicka parafia nie wspiera Polaków w potrzebie. Garażowcy na kawę chodzą do absolwenta Oksfordu Roberta Demczuka, współwłaściciela miejscowej kancelarii prawnej, a na darmowe posiłki – do kościoła baptystów. W karcie dania mięsne do wyboru, a na deser lody.

Żarcie w przykościelnej stołówce jest tak dobre, że na obiady do baptystów przychodzą też najedzeni Anglicy. Polacy nawet przy darmowym żarciu nie szukają z Anglikami wspólnego języka. W zeszłym roku Radosław z Częstochowy zagadał z nimi o bilardzie. Dostał w łeb rozbitą butelką; z odszkodowania wypłacono mu od razu 1500 funtów do ręki, przez co rzucił robotę w barze na zmywaku, został pijakiem i stracił dobrą posadę.

Polacy wolą jeść i pić z Polakami, tylko na stołówkę chodzą oddzielnie, bo każdy ma swoją własną drogę na skróty. Niektórzy zahaczają po drodze o miejsce pamięci zmarłego miesiąc temu na alkoholową padaczkę Mirka i pod krzakiem przy śmietniku stawiają mu polski znicz – obalają ćwiartkę wódki

„Sobieski” zakupioną w pobliskim sklepie specjalizującym się w sprzedaży jedzenia z Polski i Pakistanu.

Trzeba przyznać, że nawet polskie lumpy, gdyby nie zapite gęby, zaszczone spodnie i leżak w śmieciach, wyglądają w Reading jak z żurnala: spodnie Versace, buty Hugo Bossa. Dlatego, że to elegancka miejscowość – w pobliżu mieszka Elton John, Tina Turner oraz bogacz polskiego pochodzenia John Madeyski.

WAY OF PISS

– Brytyjczycy w ogóle nie rozumieją polskiej duszy. Jest nas tu już oficjalnie 750 tysięcy, a w rzeczywistości 1,5 miliona i nadal dzieli nas kulturowa przepaść – tłumaczy mi Piotrek, dwukrotnie aresztowany nauczyciel biologii z Katowic.

W zeszłym roku Piotrek chciał się odlać na tory największego londyńskiego węzła kolejowego przy stacji Watford Junction, ale niefortunnie wypadł przez barierkę na trakcję. Kompletnie pijany złamał nogę; aby go wyciągnąć, angielscy strażacy na 15 minut zatrzymali pół Londynu.

– Nie mam pojęcia, o co wam chodzi z tym laniem na tory. 2 lata temu wasz rodak z rozpiętym rozporkiem zginął tu na miejscu porażony prądem. – Danny, londyński gliniarz w średnim wieku, pokazuje mi nasze narodowe miejsce kaźni. Patrzę w dół i wszystko kumam – pozostaje tylko skoczyć albo naszczać.

Dan nie jest perfekcjonistą, ma pogniecione spodnie i źle wypastowane buty, ale idealnie wymawia imiona: Zdzisław, Włodzimierz i Grzegorz.

– W Londynie i okolicach aresztujemy średnio kilkudziesięciu Polaków dziennie – opowiada. – Najczęściej za bicie żon, jazdę po pijaku i rozboje. Rzadko kończy się to grzywną. Zwykle wysyłamy was do naszych sądów. Ostatnio aresztowaliśmy nawet reżysera i dwóch producentów waszego telewizyjnego serialu „Londyńczycy”. Bardzo głośno się zachowywali i byli agresywni.

Wpadli w jakąś pijacką psychozę. Spędzili noc w areszcie i dostali oficjalne upomnienia.

END OF HOLIDAY

Ofiarą surowego angielskiego sądownictwa jest cherlawy okularnik Marek, student warszawskiej politechniki. Za dwa dni ma rozprawę przed sądem magistrackim w Londynie za napaść z użyciem niebezpiecznego narzędzia, za co grozi mu 3,5 roku więzienia. Marek pokłócił się przy wódce z kumplem Polakiem i rąbnął go butelką w głowę. Kolega stracił przytomność, trzeba było wezwać karetkę. Lekarze w szpitalu zawiadomili gliniarzy, którzy od razu wszczęli śledztwo. Przestraszony koleżka, jak tylko go obudzili, wszystko wyśpiewał, bo angielskie gliny na przesłuchaniach zachowują się jak angielscy kibice.

Danny miał rację. Na wspólnej rozprawie w prestiżowym londyńskim sądzie magistrackim przy katedrze westminsterskiej spotykam Marka oraz trzech innych Polaków. Sądzonych tego dnia Anglików jest trzech. Wszyscy rodacy odstawili się do sądu w wytarte dżinsy i sprane podkoszulki.

Andrzej nie wie dokładnie, o co ma sprawę, bo źle wypełnił wniosek o przyznanie mu obrońcy z urzędu, w związku z czym nie ma adwokata. Po angielsku niewiele rozumie i jeszcze mniej mówi, przed wejściem do sali rozpraw ze strachu przed deportacją dostaje więc drgawek.

Przed sądem pierwszy staje Marek – skuty kajdankami, w szklanej izolatce z policjantem i tłumaczem – łamaną angielszczyzną do wszystkiego się przyznaje i błaga sąd, żeby go nie deportowano. Otwieram oczy ze zdumienia, bo w Polsce Markowi grozi o połowę mniejszy niż w Anglii wyrok.

– Jeśli mnie teraz deportują, nie przyjadę już do Anglii – tłumaczy mi po sprawie Marek. – Poza tym w angielskim areszcie nie gwałcą, nie biją, jest biblioteka i po 8 mkw. na jednego aresztanta.

Ale Marek nie ma szczęścia. O jego deportację wystąpił Urząd Imigracyjny i sędzia nie mógł już nic zrobić. Za 10 dni Marek będzie w Polsce. Na lotnisku wojskowym niezbyt wylewnie powita go polska policja.

– Widziałem to już tysiące razy – mówi Rafał, tłumacz i radca prawny zatrudniany przez angielską policję i sądy. Z aresztów z całej Anglii dwa razy w tygodniu zwożeni są tu Polacy turystycznymi autobusami, w słomianych kapeluszach, przeciwsłonecznych okularach, klapkach i z pięćdziesięciu torbami; wyglądają jak gdyby jechali na wakacje. Rafał eskortował kiedyś grupę 150 rodaków, dla których nie wystarczyło miejsc w wojskowym samolocie, dlatego Urząd Imigracyjny wynajął pasażerski samolot od LOT-u. Upadli polscy emigranci podtrzymują jakoś upadłego polskiego przewoźnika.

Angielscy policjanci pomagają się Polakom pakować, przed odlotem częstują fajkami i machają na pożegnanie. Na Okęciu jest już gorzej. Polscy gliniarze rzucają o ziemię aresztantami i ich walizkami.

JUSTICE OF THE PEACE

Tego samego dnia w wyższym rangą brytyjskim Sądzie Koronnym w londyńskiej dzielnicy Snaresbrook Rafał jako tłumacz asystuje innemu naszemu rodakowi. Sąd Koronny, w przeciwieństwie do magistrackiego, wygląda jak szkoła czarownic z „Harry’ego Pottera”. Na sali rozpraw to ja dostaję drgawek: sędzia z surową miną starej zakonnicy, w długiej do ramion siwej peruce, jedwabnej todze i purpurowej szarfie jeszcze trzy wieki temu kazałby ścinać innowierców. Teraz sędzi Tadeusza K. za wypchnięcie okna w kuchni i wykorzystanie do spania kanapy Andrew Webstera pod jego nieobecność.

Tadeusz jest recydywistą. Pierwszy raz został skazany za kradzież. Przesiedział w areszcie 2 miesiące, dostał wyrok w zawiasach i wyszedł. Nie miał co ze sobą zrobić, był głodny i chciało mu się spać. Na wycieraczce domu Webstera leżał stos

gazet... Z perspektywy czasu Tadeusz myśli, że źle zrobił, dzwoniąc wtedy po towarzystwo 48-letniej koleżanki i 52-letniego kolegi, którzy nie dość, że się u Webstera najedli i przespali, to rąbnęli jeszcze telewizor i próbowali sprzedać w pobliskim lombardzie. Nie znali języka, nie potrafili więc skłamać, skąd mają plazmowy telewizor bez kabli; właściciele lombardu od razu zadzwonili na policję.

– Tylko ze względu na Polaków zmieniona została w Wielkiej Brytanii po raz pierwszy od 100 lat ustawa o zbieraniu złomu. Już nie można sprzedać w Anglii na złom czegoś, co nie jest częścią większej całości – wyjaśnia mi po rozprawie tłumacz.

Tadeuszowi K. za to, że poczuł się w Londynie jak w swoim domu pod Wrocławiem grozi nawet 7 lat więzienia. Tak mówi adwokatka Tadeusza – w krótkiej siwej peruce, czarnej todze, białym kołnierzyku, warkoczykach i z kolczykiem w nosie. Na niekorzyść oskarżonego działa to, że miał współników, a na jego korzyść – że niczego nie ukradł, nie uciekał i nie stawiał oporu policji. No i to, że od 1982 r. ma tylko jedną nerkę i pięcioro dzieci w Polsce, które utrzymuje żona krawcowa.

* * *

Stowarzyszenie Młodej Polonii w Wielkiej Brytanii zorganizowało 18 lipca w Londynie konferencję „12 miast. Wracać, ale dokąd? Porozmawiajmy o konkretach”. W celu zachwalania walorów Warszawy do londyńskiego hotelu Novotel przyjechała prezydent Hanna Gronkiewicz-Waltz i szczegółowo odpowiedziała, dlaczego stolica Polski jest najlepszym miejscem do założenia własnego biznesu. Zwłaszcza że w Warszawie też jest rzeka, nad którą można rozbić obóz, którego na pewno nie podpali żaden angielski gang. I wolność szczania na tory.

Autor: Iza Kosmała

Źródło: [Nie](#)